

SKY



K.P.
30.09.13

Marcin Robert Bigos "Tatry jak Himalaje, czyli nie ma złota w Śnieżnych Górach"

Fahrenheit Crew

W XXI wieku, gdy można wykupić wycieczkę nawet na Czomolungmę, góry zdają się tylko jeszcze jedną "atrakcją turystyczną". W nie tak odległych jednak czasach budziły one znacznie żywsze emocje, związane zarówno z ich tajemniczością, jak też bogactwami, które rzekomo skrywały. Szczególną zaś sławę zyskały sobie Tatry, choćby dlatego, że uchodziły niegdyś za najwyższe góry Europy. Nie, to nie pomyłka, lecz fakt jak najbardziej potwierdzony empirycznie! I to przez uznane autorytety naukowe. Przecież sam David Froelich, w podręczniku "Medulla Geographiae practicae" z 1639 roku, napisał:

"A góry te, ostrością swą i stromością Alpy włoskie, szwajcarskie i tyrolskie silnie przewyższające, są trudne do przebycia i są odwiedzane nader rzadko, wyłącznie niemal przez miłośników przyrody".

Żyjący w latach 1595-1648 David Froelich uchodził w swoich czasach za wybitnego uczonego. Po studiach, które odbył na kilku niemieckich uniwersytetach, osiadł w rodzinnym Kieżmarku na Spiszu, gdzie zajął się pracą prywatnego nauczyciela oraz pisanem prac z dziedziny matematyki, astronomii i geografii. Wydawane przez niego naukowe kalendarze cieszyły się tak wielkim uznaniem w Monarchii Habsburgów, iż otrzymał od cesarza Ferdynanda III tytuł "cesarskiego i królewskiego matematyka i praktycznego astronoma w królestwie węgierskim". Pod koniec czerwca 1615 roku, gdy Froelich był jeszcze studentem słynnego kieżmarskiego gimnazjum, wybrał się razem z dwoma kolegami szkolnymi (i najprawdopodobniej przewodnikiem) na tatrzańską wyprawę, której celem był – jak to ustalił już w XX wieku Roman Kordys – Kieżmarski Szczyt. Wycieczki takie były w tamtej epoce czymś najzupełniej zwyczajnym, jednak dopiero nasz cesarsko-królewski matematyk zdecydował się opublikować opis jednej z nich, co zapewniło mu sławę prekursora taternictwa. Oddajmy jednak głos Autorowi:

"Gdy przybyłem na najwyższy wierzchołek góry, natrafiłem tam na powietrze tak spokojne i delikatne, iż nie zauważyłem nawet poruszenia się włosa, gdy na górach znacznie niższych znałem z doświadczenia gwałtowne wiatry. Stąd wywnioskowałem, że najwyższy wierzchołek tejże góry karpackiej podnosi się od jej najniższej podstawy na wysokość około jednej mili niemieckiej i rozciąga się aż do najwyższej sfery powietrza, do której wiatry już nie dochodzą."

Wybitność szczytu równa jednej mili niemieckiej to 7500 metrów, wartość więc isticie himalajska. Ale skąd w ogóle wziął się ten pomysł? Z fizyki Arystotelesa, oczywiście! Wszak to w "Meteorologie" Filozofa czytamy:

"Widać przecież i teraz, że wiatry powstają w zagłębieniach ziemi, nie wieją natomiast ponad szczytami wysokich gór."

Pamiętać należy, iż w czasach Froelicha na uniwersytetach uczono wyłącznie fizyki Arystotelesa. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że nasz autor zasugerował się teoriami wielkiego filozofa. Dawno już zresztą udowodniono, że obserwacje zależą od przyjętych teorii, a spośród wielu doznań zmysłowych najłatwiej akceptujemy te, których oczekujemy. Łatwo więc wyobrazić sobie, że uczestnicy opisanej wycieczki, wybierając się na nią podczas ładnej pogody, bezwietrzny dzień uznali za potwierdzenie swoich przewidywań.

Obserwacje meteorologiczne Froelicha zyskały sobie europejską sławę, trafiły bowiem do "Geographia generalis", wydanego w 1650 roku dzieła ojca nowożytnej geografii, Bernarda Vareniusa. Potwierdzone zostały zresztą także przez późniejszych podróżników. Daniel Speer, urodzony we Wrocławiu niemiecki kompozytor i literat, przebył tę samą, co jego wybitny poprzednik, trasę w czerwcu 1654 lub 1655 roku. Opisał ją w beletrystycznym dziele "Węgierski bądź dacki Simplicissimus przedstawiający swój przedziwny życiorys", notując między innymi takie wrażenia ze szczytu:

"Nie czuliśmy tam żadnego wiatru, niżej pod sobą widzieliśmy przepływające małe jasne chmurki, a ponieważ wzięliśmy ze sobą dobrą lunetę, przeto widzieliśmy z tej wysokości na 30 mil, a nawet i więcej. Jakoż widzieliśmy Kraków na 30 mil wyglądający jakby jaki wielki zamek."

Świadectwem nadzwyczajnej wysokości Gór Śnieżnych, jak często w tamtych czasach nazywano Tatry, było więc nie tylko to, iż sięgają one najwyższej sfery powietrza, lecz także rozległość panoramy rozciągającej się z ich szczytów, a ponadto widoczność samych Tatr z dużych odległości. Georg Buchholtz starszy, słynny badacz Gór Śnieżnych z przełomu XVII i XVIII wieku, zapewniał, że gdy w roku 1678 wziął udział jako pomocnik w wyprawie kupców spiskich do Gdańska, zobaczył Tatry z okolic Łowicza ("dziesięć mil za Warszawą"). Miały one wyglądać stamtąd niczym kopy siana. Jeszcze w 1772 roku Andreas Jonas Czirbesz twierdził, że przy pogodnym niebie Tatry widoczne są z Erlau w Saksonii oraz węgierskiego Debreczyna.

Dlaczego więc, mimo tak niezbitych dowodów, Tatry uważane są obecnie za niższe od Alp? Przyczyniły się do tego rewolucyjne zmiany w fizyce, do których doszło w XVII stuleciu. Głównym ich sprawcą był Galileusz, który połączył empiryczne eksperymenty z wykorzystaniem aparatu matematycznego. Uczniem Galileusza był otóż Evangelista Torricelli – wynalazca barometru. I to właśnie barometr sprawił, że Góry Śnieżne nagle zmaląły. Na przełomie XVIII i XIX wieku barometry powszechnie były wykorzystywane do mierzenia wysokości gór, co nie powinno dziwić żadnego współczesnego posiadacza zegarka z altimetrem, choć w przeciwieństwie do naręcznych zegarków były to ciężkie urządzenia, dźwigane przez tragarzy. W roku 1793 szkocki podróżnik Robert Townson ustalił tym sposobem wysokość Łomnicy na 2634 m n.p.m. (co dokładnie pokrywa się ze współczesnymi pomiarami), Krywania zaś na 2543 metry (obecnie 2494 metry).

Nowa teoria przyniosła więc nowe obserwacje. Niektórzy jednak twierdzą, że zmniejszenie się wysokości Tatr spowodowały trzęsienia ziemi wywoływane przez smoki. Cóż, kwestia ta z pewnością

wymaga jeszcze dokładniejszego zbadania.

Ale nie tylko fizyka kształtowała nasze spojrzenie na Tatry. Sporą rolę odegrała tu także teologia. Dowiedziono bowiem, że góry nie są wcale, jak można by się spodziewać, przypadkowymi tworem. Żyjący w XVII wieku niemiecki teolog i jezuita Athanasius Kircher, idąc za Ojcami Kościoła, sformułował pięć racji ich istnienia. Góry według niego stanowią:

- kościec utrzymujący Ziemię w całości;
- groble zapobiegające nadmiernemu rozlewaniu się mórz;
- zasobniki wody oraz źródła rzek;
- osłony dolin przed wiatrami;
- naturalne granice między krajami oraz
- kopalnie kruszców i skarbów.

Wiara w bogactwa ukryte w Górach Śnieżnych sprawiała, że już od XIII – jeśli nie XII – wieku penetrowane były one zarówno przez profesjonalnych górników, jak i przez zwykłych poszukiwaczy skarbów. Początkowo szukano w nich rud kruszczowych, głównie złota, srebra i miedzi. Kopalnie złota na Krywanii działały od XV stulecia, lecz z racji trudnych warunków terenowych i skromnych ilości kruszczu zamknięto je ostatecznie z końcem XVIII wieku. Od tego stulecia skoncentrowano się natomiast na wydobywaniu rud żelaza, ale i tego zaniechano w latach 70-tych XIX wieku. Rzeczywiste bogactwa mineralne Tatr okazały się skromne, w co długo jednak wielu nie chciało uwierzyć, uganiając się za skarbami ukrytymi w niezbadanych dotąd jeziorach lub jaskiniach.

Jednym z takich poszukiwaczy był Jakob Buchholtz, syn wspomnianego wyżej Georga Buchholtza starszego. W roku 1746 przesłał on na dwór cesarski do Wiednia blisko tysiąc próbek rud i minerałów tatrzańskich, które wzbudziły tak wielkie zainteresowanie, że cesarz Franciszek I powołał specjalną komisję mającą zbadać sprawę na miejscu. W skład jej weszli między innymi nadworni "matematycy", odnotowani w źródłach jako Nagel i J. L. de Baillon. Komisja zebrała się 26 lipca 1751 roku w Kieżmarku, a następnie do 7 września zbadała zachodnie Pieniny, Magurę Spiską, południowe Tatry (głównie doliny Kieżmarską i Wielicką), a także Niżne Tatry i Góry Choczańskie.

I co też takiego jej członkowie spodziewali się zastać na miejscu? No cóż, zdarzali się entuzjaści twierdzący, że w Tatrach spotkać można nawet diamenty, za które najprawdopodobniej brali górski kryształ. Jakob Buchholtz, który wyznaczony został na przewodnika komisji, w podsumowującym wyprawę artykule wspomina, jak to jej uczestnicy natykali się w różnych miejscach na marmur, żelazo, granaty, złotonośne żyły cynobru, jaspis, markazyt i miedź. W okolicy Przełęczy pod Kopą natrafili mieli na "wyjątkowo dużą żyłę żelaza i stali" (sic!), zaś w okolicach Szczyrbskiego Jeziora napotkali owce, które po spożyciu złotodajnych roślin dostały pozłoczonego zębów. Nie ma w tym nic

dziwnego. W XVIII wieku poważnie rozważano hipotezę, iż obok złota mineralnego istnieje także złoto roślinne (aurum vegetabile), którego zjedzenie taki właśnie miało przynosić skutek.

Poszukiwania cesarskiej komisji nie przyniosły jednak oczekiwanych przez jej inicjatora rezultatów. W następnym roku Jakob otrzymał od Franciszka I 200 dukatów nagrody, kilka słów zachęty do dalszych badań i... cesarz przestał interesować się więcej tą sprawą.

Przyczyn tego, iż miejscowa ludność nie bogaci się na bliskości Tatr, niekoniecznie jednak upatrywano w ubóstwie ich zasobów. Częściej uznawało się, że jest to skutek niecnej działalności obcych przybyszów. Opowiadano więc o Polakach, Ślązakach i Czechach, a nawet Włochach i Szwajcarach, którzy potajemnie wybierając się w Tatry i pilnie pracując w kopalniach, niejednego skarb z nich wywozili, tym bardziej, że byli lepszymi mistrzami górniczymi, a ponadto w swoim procederze posługiwali się czarną magią.

Georg Buchholtz przytoczył na przykład opowieść o Adamie Kaltsteinie, sędzim ze spiskiego miasta Biała, który ponadto trudnił się poszukiwaniem skarbów w górach, skąd przyniósł "ładny majątek". Przypuszczać można, że założył on małą kopalnię na stokach Bujaczego Wierchu. Po latach działalności postanowił przekazać ją synowi, także Adamowi. Wybrali się więc w drogę. Trasa była trudna: "Niedaleko lochu, w którym znajdował się skarb i do którego mieli wejść, wznosiła się kamienna ściana, a przy niej ścieżynka, jakby wąska ławka, w głębi zaś na kilkaset sążni dolina, w której sterczało wiele ostrych skał i wieżyc." Tuż przed osiągnięciem celu ojciec spadł w przepaść, przerażony zaś syn wrócił pośpiesznie do domu. Jak pisze Buchholtz:

"Opowiadali mi to przed jakimiś 30 laty również starzy wiarogodni rajcowie i przyjaciele jego w Białej. Przypuszczali, że został on przez cudzoziemców, którzy znajdowali się po przeciwnej stronie, cichym strzałem zastrzelony przy owej ścianie skalnej, tak że musiał spaść. Tak oto dzieje się w Górach Śnieżnych, że nawet się nie wie, jak postradać można życie."

No cóż, rozsądny człowiek nie uzna przecież, że wypadek mógł być spowodowany czymś tak banalnym, jak trudność trasy, zmęczenie lub podeszły wiek ojca. Świadczyłoby to o naiwności. Znacznie sensowniej jest założyć, że to bezgłośny strzał był przyczyną wypadku. A że nie było go słychać? Tym bardziej świadczyło to o przebiegłości spiskowców!

Jaki morał możemy wyciągnąć z naszej opowieści? Choćby ten, że zmiany teorii, fizycznych lub geologicznych na przykład, zmieniają także nasze postrzeganie rzeczywistości i oczekiwania, jakie wobec niej żywimy. Nikt przecież nie spodziewa się dzisiaj, że góry specjalnie zostały stworzone po to, aby ukryć w nich skarby, przeznaczone dla rodzaju ludzkiego. I kto w naszych czasach uwierzyłby w coś takiego, jak hipoteza cichego strzału?

W artykule wykorzystałem książki: "Poznanie Tatr" Józefa Szaflarskiego (Wydawnictwo "Sport i Turystyka", Warszawa 1972) oraz "Osobliwości i sensacje tatrzańskie" (wstęp, opracowanie, tekst wiążący Jacek Kolbuszewski; Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977). Fragment "Meteorologii" Arystotelesa pochodzi z Polskiej Biblioteki Internetowej.

O Autorze

Prawdziwe imię i nazwisko: Marcin Robert Bigos. Miejsce zamieszkania: Podhale. Zainteresowania: liczne, przy czym historia i geografia Karpat nie zajmują wśród nich ostatniego miejsca. Wikipedysta od 2005 roku.